

## Drugie życie Józefa

Siedział w fotelu głęboko w niego wciśnięty; ponad wyłysiałą głową, nienaturalnie wysoko, sterczało oparcie z bocznymi uszami. (Był czas, kiedy sprzedawano takie niepraktyczne w małych pokojach, okazałe, jak uważało wielu, fotele). Za plecami, w rogu pokoju, stały dwie butle, z pokrętłami zaworów, manometrami i maską do ust (tyle dostrzegłem jednym, krótkim spojrzeniem). Józef patrzył na wprost przez przestrzeń pokoju i ciemnego, przedzielonego padającą z kuchni plamą światła, przedpokoju. Gdy wszedłem nasze spojrzenia się spotkały, a może tak mi się tylko zdawało. Może mnie nie widział w półmroku. Patrzył przed siebie matowymi, wygasłymi oczami. Może już wtedy widział to, czego ja po chwili mogłem się tylko domyślić. Zatrzymałem się w drzwiach. Wtedy on oderwał się – nie miałem wątpliwości, uśmiech nagle wskoczył mu na usta, twarz pojaśniała, jakby wyszła z cienia – oderwał się od swoich wspomnień i tajemnych, jemu wiadomych, myśli. Przez długość mrocznego i wąskiego korytarza zdążyłem – mam nadzieję – zetrzeć z twarzy niepokój wywołany cylindrami stalowych butli (widziałem takie u wezłowia łóżka kogoś, kogo już nie ma). Te z tlenem i acetylenem stały dotychczas w jego garażu. Jednak tamte nie wywoływały, jak te dzisiaj, chłodu na moich plecach.

Wnikliwiej niż zawsze przyjrzałem się jego twarzy i odniosłem wrażenie, że nie różniła się od tej sprzed kilku miesięcy, kiedy szliśmy w stronę nieodległego lasu, wąską, łagodnie się wijącą pośród wiosennych traw ścieżką. Rozmawialiśmy jak zawsze, o tym, co mieliśmy przed oczami: o łące na pagórkach, której już nikt nie kosił, o wycince buków, o ściąganiu dłużyc po stromych zboczach gór, o małym stawie z boku ścieżki, bajorku właściwie, pośród zdziczałych traw, który zarybiał karaskami, linami i inną drobnicą, a ktoś – Józef nawet nie zlorzeczył na niego – systematycznie je wylawiał. Czuliśmy na twarzy ciepły południowy wiatr. Powoli, nie spiesząc się (ścieżka wspinała się po zboczu), zbliżaliśmy się do ściany lasu. Było przyjemne niedzielne przedpołudnie. Luki odskakiwał od nas, to znowu powracał z badyłem w pysku, upuszczał przed nami i szczekał prowokując. Józef się pochylał, brał kij do ręki i po szerokim zamachu odrzucał; za każdym razem w inną stronę. Pies orientował się co do kierunku i sadził susami, po chwili zziajany wrócał ze zdobyczą. Widziałem, że ta zabawa obydwóm sprawia przyjemność. Ścieżka w pobliżu lasu się zwężyła. Szedłem za nim. Usiłowaliśmy jeszcze rozmawiać, ale wiatr porywał słowa i rozrzucał pośród traw, za naszymi ple-

cami. W lesie podążaliśmy ramię w ramię. Rozdzielała nas głęboka na co najmniej pół metra, wyżłobiona przez nocną ulewę, szczelina, po której dnie służył jeszcze strumień wody.

Było to wiosną, jak wspomniałem. Dzisiaj już jesień. Za oknami nie ma słońca. W mieszkaniu ciemnowo, choć w pokoju świeci się światło. Jednak nie doceniłem spostrzegawczości Józefa. Przechwycił moje, muskające obły kształt stalowych cygar, spojrzenie i zdobył się na żart.

– Co, jesteś zdziwiony? Kiedyś tlenu używałem do spawania, teraz zasila moje płuca.

Co miałem powiedzieć? Coś tam bąknąłem nieudolnie. Nie sądzę jednak, by to było mądre czy budujące. Pewnie przytoczyłem odpowiedni do sytuacji jakiś banał, a pomyślałem – nie jest dobrze. Przypomniała o sobie kopalnia, tyle lat pod ziemią, jak kret. Przyszedł czas zapłaty za wysokie w porównaniu z innymi, apanaże, za wczasy w górniczych ośrodkach nad morzem i w górach, z których, o ile mnie pamięć nie myli nigdy nie skorzystał, za uprzywilejowane – w czasach ogólnego niedostatku – zakupy na kartę „G”, w specjalnych, tylko dla górników, sklepach. Co za dziwactwo? – karta „G”. Górniczy gnom wymyślony przez czerwonych kacyków! Dla zwiększenia wydobywania. Ile trzeba mieć lisiej przebiegłości, by delikatnie, niemalże w rękawiczkach, wysłać w niedzielę i wolne soboty ludzi pod ziemię. Wykorzystano zasadę kija i marchewki. Kijem była dobrowolna praca, za podwójną stawkę oczywiście, w niedzielę czy w soboty, a marchewką – artykuły w rzeczonym sklepie, nieosiągalne gdzie indziej.

Na Moniuszki, przy rynku, był taki Pewex dla górników – ze wszystkim, czego dusza zapragnęła. Pamiętam na wystawie (byłem właścicielem starego trabanta) czarne, głęboko żłobione radialki różnych rozmiarów i akumulatory, duże i małe. Nie raz widziałem, zatrzymywał się taki nie-górnik, szczęśliwy posiadacz jednego z wytworów demoludów – syrenki, malucha, wartburga, rzadziej dużego fiata czy daczii, z nosem rozpląszczonym na szybie, jak dziecko przed cukiernią jedząc oczami tortowe ciastko, i przetykał ślinę. Żółć takiego zalewała, gdy miał pecha i przystanął akurat w momencie, kiedy ze sklepu „pan górnik” wynosił nówki opony i z satysfakcją pakował do przepastnego bagażnika swojego wartburga 353 (najczęściej kupowany na otrzymany z kopalni talon).

Te i inne obrazy, które przywołała moja pamięć, przewinęły mi się teraz przed oczami. Czy Józef choć raz pomyślał o tych szychtach przez dwie dekady na nocne zmiany, ponadto w niedzielę, by być klientem tego wydumanego sklepu? Nie wiem.

Podniósł się tylko na chwilę, przywitał i znowu opadł na siedzenie. Raz po raz nieznacznie się poruszył, jakby go coś uwierało, potem trwał w martwym bezruchu, obojętny na wszystko wokół; zwróciłem uwagę na spokój w głosie i zachowaniu. Patrz, mówiło jego spoj-

zenie: co mnie obchodzi, kto jaki samochód kupił, co mówią w telewizorze, czym denerwuje się żona, za czym gna, będący ciągle poza domem, syn. W czasie rozmowy nie wracaliśmy do tematu butli z tlenem.

Jak zwykle wyszliśmy na przechadzkę. Luki, drzemiący dotychczas przy kaloryferze pod oknem, poderwał się. Psim instynktem wyczuwał, kiedy Józef wychodził się przejść, natomiast gdy tylko wstawał, by rozprostować kości – leżał nieporuszony. Innych domowników wyraźnie lekceważył, zachowywał się, jakby ich nie było.

Był to średniej wielkości, może trochę większy, mieszaniec; z dużym prawdopodobieństwem można rzec, że suka, jego psia matka, skundliła się... z dzikiem. Dokładnie tak – z dzikiem, jednym z tych, które jesienią podchodzą do bloków. Szczeciniasta bura sierść i wydłużony pysk przywodzą jednoznaczne skojarzenia. Było jak było, prawdy się nie ustali – można jedynie snuć domysły. Dzikowy wygląd nieprzysparzający człowieczej sympatii, psi los zrekompensował mu wyjątkowym psim szczęściem.

Michał K., sąsiad z klatki obok, uchodził za miejscowego hycła, i tę ksywę poczytywał sobie za należny mu zaszczyt. Przecież czyścił okolicę z bezpańskich psów. Istniejące, w jego przekonaniu, zło, niszczył w zarodku. Z krwawym błyskiem oczu wyłuskiwał z ogrodowych i piwnicznych gniazd psie mioty, pakował do worka, zarzucał go potem na plecy i polną, wijącą się z boczem ścieżką zmierzał w stronę bukowego lasu. Rzucając przekleństwami (miał ich całe bogactwo) tłukł workiem o najbliższy ścieżki świerk albo buk. Potem, gdy przeraźliwe piski ustawały, wyrzucał zawartość do najbliższego dołka. Wracał z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Zatrzymywał się w połowie drogi przy stawku, dokładnie płukał worek, a potem suszył na dachu komórki.

Pewnego deszczowego dnia, późnym wieczorem, Józef natknął się na Michała K. przy garażu. Zaskoczeni byli obaj. Józef nie miał wątpliwości dokąd sąsiad się wybiera – płótno worka się poruszało. Niespodziewany żal ogarnął go od środka, najchętniej to przyłożyłby mu trzymaną w ręku siekierą, był to odruch... Powstrzymał się, przez zaciśnięte zęby wycedził w twarz K.: – Jednego wezmę. – I nie czekając na odpowiedź wyciągnął rękę w stronę ramienia, przez które przewieszony był zaciśnięty w jego dłoni koniec worka. Małe popiskiwały, kiedy worek stawał na ziemi. Wsadził rękę i na chybił trafił wyciągnął jednego szczeniaka. Tym szczęśliwcem był Luki.

Drugi raz uśmiechnęło się do zwierzęcia psie szczęście przed dwoma laty. W ciągu trzech dni stopniowo przestał jeść, pić, stał się mniej ruchliwy, nie chciał wychodzić na dwór, nie wstawał z posłania – zobojeźniał na wszystko, co się wokoło niego działo.

– Pewnie się czymś struła – powiedział Józef, bardziej do siebie niż domowników.  
– Szlag go nie trafi, nie martw się, przejdzie samo – ucięła krótko żona i siadła przed telewizorem.

Czy zatrucie, czy co innego, coś mu jest – myślał Józef, ale samo, miał jakieś osobliwe przeczucie, to mu nie przejdzie. Na czwarty dzień zawiózł go do weterynarza. Poprosił syna, by ten zaniósł psa do samochodu. Kiedy leżał jak martwy na tylnym siedzeniu i Józef usiłował położyć na kanapie jego zwisające nogi, wtedy Luki ociężale podniósł łeb i otworzył zamknięte dotychczas powieki, spod których wypłynęło kilka łez. Brązowe oczy patrzyły żalownie.

– Nie bój się, nie dam ci zrobić krzywdy.

Prześwietlenie wykazało w przewodzie pokarmowym sporej wielkości kamień.

– Umrze z głodu – rzekł stary weterynarz. – Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że go zoperujemy. Powinien przeżyć.

Józef bez wahania wyłożył dwie stówki i po trzech godzinach wrócił z Lukim do domu. Żałował tylko, że powiedział prawdę żonie, bo w zamian usłyszał, że jest wariatem. – Dwieście złotych dawać za operacje psa! – Palcem znacząco postukała się w czoło. A on nawet słowem się nie odezwał, chodził po mieszkaniu do wieczora uśmiechając się pod wąsem.

Luki przeciskał się między naszymi nogami do drzwi. Ledwie się uchyliły, wybiegł radośnie szczekając. Józef wziął do ręki stojący na korytarzu duży sękaty kostur.

– Bez tego teraz nie wyjdę na dwór – powiedział.

Na łące pies starym zwyczajem chciał aportować, ale pan ostudził jego zapał. Nie miał sił. Zrozumiałem, że mnie przypadł obowiązek zabawiania psa. Podjąłem się zadania. Józef wspierał się na kijku i powoli posuwaliśmy się do przodu. Szliśmy obok siebie nie rozmawiając. Zatrzymywał się i głęboko oddychał. Brakowało mu powietrza, którego wokół było pod dostatkiem. Bynajmniej się nie skarżył i nie użalał nad sobą. Miałem wrażenie, że coś mu gwizdże w krtani.

Przed nami płożą się łąka, dalej wyrastała ściana lasu. Obejrzałem się. Za nami zapomniane, porośnięte chwastami ogród i zamknięty garaż; opatrzony numerem własności kopalni po dziesięciu latach użytkowania. Ile samochodów i ludzi przez niego się przewinęło.

Zbyt dawno było, żebym nie pamiętał.

Józef mieszkał na krańcu miasta. Na ostatniej krzyżówce ostry zakręt w prawo, potem przyhamować i zjechać przez chodnik na szutrową drogę, z rowkiem pośrodku wyłobionym

deszczówką. (Gdyby trzymać się drogi głównej, przyhamują nas dwa wznoszące się ostro zawijasy, wyskoczy się na grzbiet i koniec miasta). Skoro tylko przejechaliśmy przez chodnik, słyszymy dzwonienie kamyczków o podwozie, samochodem najpierw zakołysze na boki, potem uniesie się lewa strona (z boku mamy dwie mocno podgryzione zębem czasu kamienice, z prawej ogródki) i zaraz wyrówna, przy bloku. Kilkadziesiąt metrów dalej otwarte na oścież, najczęściej, jak paszcza wieloryba garażowe drzwi. W środku na kanale jakiś rozbebeszony wóz, albo oklejona i zaciągnięta podkładem karoseria. Mogło być wszystko. Jeden – dwóch w smarach albo w pyłe fachowców i po bokach kibice, doradcy. Opowieści samochodowych i wędkarskich zdawało się nie być końca. Męskie dowcipy i żarty. Nie rzadko na taborecie napoczęta flaszka, obok jeden kieliszek, może i musztardówka, o przedłużonej żywotności. W szafce kilka butelek piwa. Puste leżą pokotem tu i tam. Przed garażem zawsze stały, oczekując swojej kolejki jakieś auta. Ustalenia sięgały niekiedy i tygodni. Takich garaży w pobliżu nie ma. Są narzędzia i fachowcy: Józef potrafi zająć się blacharką, mechaniką, nawet prosty spaw pociągnie, Mirek zrobi elektrykę, Janusz rękę ma do pistoletu, lakiernicze go ma się rozumieć. Z każdym można się dogadać, ustalić termin tak, by wszystkim pasowało. W szczególnych przypadkach trzeba rozbebeszyć silnik albo i skrzynię biegów w drobny mak i zawieźć do jeszcze lepszego fachowca. Przy takim remoncie różne części walają się dokoła w kurzu, trochę w jakiej skrzynce, w kartonie, na posadzce, przestawiane z jednego miejsce w inne, przez tydzień, dwa albo i dłużej. Potem przychodzi czas i powoli, sukcesywnie, wydobywane z różnych zakamarków, po umyciu i wyczyszczeniu, wracają, o dziwo, na swoje miejsce.

Swoim wartburgiem 353 (jego pierwsze, po jawie i junaku, auto) Józef zanadto się nie przejmuję. Lata świetności pięciolatka (gdy go przyprowadził) dawno już minęły i, nie za często, ale to i owo się psuje, trzeba naprawić, wymienić, jak to w samochodzie. Raz w roku, zazwyczaj przed urlopem, robi generalny przegląd. Przygotowuje się do tego przedsięwzięcia odpowiednio wcześniej. W Polmozbycie na Tuwima jest częstym gościem, w zasadzie przy każdym pobycie w mieście i, obowiązkowo, zaraz po dostawie towaru, o której dowiaduje się jemu tylko wiadomymi kanałami. Bierze wtedy jak leci: potrzebne, niepotrzebne, nie szkodzi – kiedyś się przyda. Nie szczędzi grosza. Czasami kobieta mu zrzędzi: „Kurtkę byś sobie kupił nową”, on się tylko uśmiechnie, mając w pamięci ostatnie zakupy, i powie, że w samochodzie nikt go nie widzi, to i w starej jeszcze pochodzi. Kolor (samochodu – nie kurtki) zmienia średnio co pięć lat. Na remont poświęca wtedy urlop. Na kołach pozostają tylko rama i szkielet – którego nie da się rozkręcić, pozostałe blachy, zżarte przez rdzę, z dziurami i wgniotami po stłuczkach lądują w pokrzywach za altaną w ogródku, a te trochę lepsze, które

komuś mogą się przydać wrzuca na półkę. I wcale się przy tym nie certoli. Lekką ręką kwalifikuje jedno w pokrzywy, drugie – na półkę.

– Potrzebujących jest dużo. Kiedyś kto się zgłosi – mówi, wiedząc, co mówi.

Pewnego lata widziałem pomalowane blachy. Grzały się w słońcu na zboczu przed garażem, jak rozwinięte skórki pomarańczy. Józef stał i gładził je swoim dobrotliwym spojrzeniem, pochylał się, kucnął, przyglądał z dołu, z boku. Odwrócił głowę. W oczach widziałem zadowolenie i, nie boję się użyć tego określenia, satysfakcję. Powiedział, żebym dotknął. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, zaskoczony propozycją. – Nie bój się, lakier już wyschł. – Nie miał skłonności robienia przykrych dowcipów, toteż uczyniłem, co zaproponował. Ostrożnie przyłożyłem do wypukłości drzwi wewnętrzną stronę dłoni i w tym momencie zrozumiałem jego żart: blacha była gorąca jak wyjęta przed chwilą z paleniska. – Od rana grzały się w słońcu. Lakier się czepiał jak kładziony w komorze – wyjaśnił, a tym samym usprawiedliwił swoją propozycję, choć ja i bez tego wiedziałem, że on nie chciał, bym się sparzył.

Mieszkaliśmy w sąsiednich blokach, miałem dziewiętnaście lat – on był przed czterdziestką. Dla mnie już stary facet. Obserwowałem ich, Józefa i jego kolegów, ich żony, kumpłowałem z ich synami, podobała mi się córka jednego z nich. Tutaj wszyscy o wszystkich dużo wiedzieli. Spotykali się w drodze do i z pracy, w sklepie, na przystanku, przed blokiem, w piwnicy, w ogrodzie. Głośno obchodzono imieniny. Mięso na kartki, wódka, słodycze... – wszystko na kartki było. Mało tego – należało mieć zdrowie i pokorę, by spędzać godziny w licznych kolejkach. Robotnicy narzekali na rząd, na tych z komitetu na Alei Wyzwolenia (tacy sami a bliżej byli), dyrekcję kopalni, sztygarów, kierowników – tych wszystkich, którzy, w ich mniemaniu, się do takiego stanu rzeczy przyczynili. Na przekór wszystkiemu i wszystkim (wymienionym), przy imprezach stoły były zastawione. I piecyste, i sałatki, i szynka się znalazła, grzybki i korniszony, kawa prawdziwa, Orient, i ciasto, i, bez tego trudno mówić o udanej imprezie, wódka oczywiście, często własnej produkcji. W przekonaniu niektórych lepsza od tej ze sklepu. Latem, najczęściej w niedzielne popołudnie, zbierali się u Józefa (i altanę miał, i pergolę, nutrie pluskały się w wodzie). Odświętnie ubrani: spodnie na kant, czarne pantofle, biała, niebieska albo żółta koszula – jakby inne kolory jakie trefne były – z podwiniętymi do łokcia rękawami. Zaczynało się spokojnie, z upływem czasu wszystko nabierało tempa. Napięcie mijało; szarość tygodnia nabierała barw, rozrzedzona krew dawała poczucie siły: sprawy jeszcze przed paroma godzinami trudne załatwiano od ręki, a te niemożliwe – w widocznej perspektywie.

Z dala od centrum, na peryferiach, łatwiej i weselej mijał ten czas.

Józef przystanął przy swoim ulubionym stawiku. Wpatruje się w zieloną toń i głęboko oddycha. Ja tuż za nim. I czekam. Czekam, aż się mu oddech uspokoi. Potem chwili się odwraca, oczy mu błyszczą, twarz pojaśniała, wyciąga rękę i ściszone głosem mówi:

– Popatrz! – Podążam wzrokiem we wskazanym kierunku i zatapiam spojrzenie w nieruchomą zieloną toń. – Widzisz?! – dopytuje zniecierpliwiony moim milczeniem.

– Widzę – kłamię bez zastanowienia, by zrobić mu przyjemność. Kręgi na wodzie dowodzą, że coś pod powierzchnią się porusza, że powinienem widzieć. Ciekawość wciąga go w kaczęce; boję się, że wpadnie, ale on najpierw ostrożnie wysuwa nogę i bada grunt, dopiero potem w tym miejscu staje pewnie obydwoma stopami. Przykuca i się wpatruje.

Nie było drugiego, z trzech bloków po tej stronie drogi, od lasu, który by mu dorównał w jego pasji wędkowania. Od późnej wiosny do jesieni (też późnej), każdy wolny czas spędzał nad jeziorem, szczególnie upodobał sobie to pod Mietkowem. Dwóch – trzech do towarzystwa, a jak nie było chętnych to sam, łódkę na lawetę i od tej chwili do powrotu nic więcej poza wędką, spławikiem, haczykiem i przynętą (żona kilka dni przed wyjazdem przygotowała różne jej rodzaje i smaki) nie istniało, nie było godne jego uwagi.

Józef mówi, że urosły – te jego karaski w stawiku; uśmiecha rozjaśnia mu twarz.

– Prawie jak w Mietkowie – wyrwam się bezwiednie i kieruję jego myśli ku przeszłości. Odległej jak sen, nierealnej już do powtórzenia.

– Taaa... – Urwane słowo ma mi wystarczyć za całą odpowiedź. I starcza. Patrzę na Józefa i widzę w jego oczach tamte przybrzeżne szuwały i kaczęce i pośród nich kolebiącą się od niechcienia na wodzie drewnianą łajbę. „Materac na spód, ja w śpiworze, nade mną gwiazdy, raz po raz plusk wody, w krzakach odgłosy kaczek, popiskiwania...” – przypominam sobie odległą jego opowieść. Pokazywał mi, pamiętam, dopiero co zakupioną przyczepę kempingową. „Już nie te lata, żeby spać pod namiotem” – opowiada, pokazując jednocześnie wewnątrz. Ze szczegółami mówi co trzeba wymienić, naprawić, a co tylko podmalować. „Wszystko się zrobi, tylko trzeba zacząć, trzeba się za to zabrać. Miesiąc i gotowe” – kończy i patrzy na mnie. Przyczepa stoi w ogrodzie w tym samym, co i wtedy, pośród wybujałych pokrzyw i nawłoci. Już z pewnością jej nie wyremontuje, tak myślę.

Znowu idziemy. Za dużo powiedziane, posuwamy się powoli. On opowiada o rybach. Znam wszystkie historie, ale i teraz słucham z udawanym zaciekawieniem.

Wracali kiedyś znad jeziora. Przepastny bagażnik wartburga wypełniony sprzętem: namioty, materace, śpiwory, kurtki, bluzy, wędki, torby z drobiazgami, siatki, podbieraki... –

wszystko utyłane w błocie śmierdzi jeziornym mułem. Po prawej kolega, z tyłu na kanapie kobiety. Połów okazały: klenie, szczupaki i kilka węgorzy w torbie na podłodze. Droga przez wioski kręta, wóz na miękkim zawieszaniu kładzie się raz na jedną, raz na drugą stronę. Torba z żywą zawartością poddaje się tym przechyłom i raz bardziej, innym razem mniej przesuwają po płaskiej podłodze. W rozmowie mężczyźni dogasają wędkarskie emocje, kobiety rozprawiają o smażeniu i marynowaniu, o praniu, o przywróceniu do jako takiego wyglądu nadjeziornego ekwipażu. Ni stąd, ni zowąd rozlega się przeraźliwy wrzask i pisk kobiet, i rozpaczliwe „stój!”. Kolega natychmiast odwraca się do tyłu, Józef jednym okiem patrzy na drogę, drugim – zezuje we wsteczne lustro. Obaj widzą to samo: przerażenie w oczach, paraliż twarzy i uniesione w górę nogi; i nie mniej przestraszone miotające się po podłodze węgorze.

Do ściany lasu było już niedaleko. Pięćdziesiąt, może sto metrów. Jeden obok drugiego leżały, czekając na zwózkę, kilkanaście bukowych beli. „Siądziemy, on odpocznie i wrócimy; z górki będzie mu lżej” – pomyślałem. Wtedy on się zatrzymał, stał nieruchomo, potem się odwrócił.

– Dalej nie pójdziemy – powiedział spokojnie, lecz stanowczym, nie podlegającym dyskusji głosem, starając się uśmiechnąć, przeprosić za swoją słabość.

Ostatni raz szedłem z nim tą ścieżką.

\*

Dzisiaj, kiedy spojrzałem na szarą elewację budynku chlastanej deszczowymi strugami, obudziły się uśpione w mej pamięci wspomnienia.

Nowa dzielnica, nowy szpital, w nim nowe sprzęty, wszystko nowe i chorzy, niekoniecznie starzy, górnicy. Wkrótce potem mówiono w mieście, że to umieralnia ten górniczy szpital. Słyszałem tę frazę wiele razy, jak również o pylicy – nieuniknionej przypadłości pracujących pod ziemią mężczyzn. Znałem takich wielu, lecz nie przypominam sobie przypadku, by który z powodu tej wyroczeni się zwolnił. Byłem wtedy w wieku, kiedy nie myśli się o ostateczności, o drugiej stronie horyzontu. Co najwyżej ogląda w kinie, czyta w książkach. Stawianie tezy, że to umieralnia, było z pewnością zwykłym nadużyciem; podobnym jak upatrywanie przyczyn ówczesnych gospodarczych trudności obecnością – wiara ta była bardzo silna – w rządzie „Żydów”. To było dawno... bardzo dawno.

Padło i wiał porywisty wiatr. Za drzwiami wstąpiłem w ciszę, za murem której czuje się strach; egzystencjalny, ludzki. Jakieś odgłosy dochodziły z głębi korytarza, zza oszklonych drzwi. Nie pamiętam, czy była to pora odwiedzin, czy przypadkowy dzień. Pewnie to drugie, stąd i mój niepokój, że ktoś w białym fartuchu potraktuje mnie jak persona non grata. Pusty korytarz wypełniał nieprzyjemny szpitalny zapach zapadający we włosy i ubranie. W pewnej



chwili usłyszałem za plecami: „Pan do kogo?”. Powiedziałem. Potem wszedłem do sali obok, białej jak pierwszy śnieg.

Józef siedział na łóżku „po turecku”; odniosłem niemiłe wrażenie jakby był bez nóg. Pochylony nad talerzem jadł obiad. Mając pełne usta kiwnął do mnie głową. Zobaczyłem uśmiech – taki jak dawniej – pod siwym wąsem. Twarz miał okrągłą, pełną – wyglądał lepiej niż kiedy wiedziałem go ostatnim razem. Przywitałem się tak jakoś nieporadnie, bo ani uściśnąć mu dłoń (nie wiedział co zrobić z łyżką) ani objąć ramieniem. Stałem obok jego żony i syna. Czekaliśmy, kiedy zje. Na dwóch sąsiednich łóżkach nie było nikogo, chwilowo nikogo – były rozbebeszone.

Mimo dobrego wyglądu, wiedzieliśmy wszyscy, każdy po swojemu, że to tylko pozory, oby jak najdłuższe. Każdy dzień, tydzień, miesiąc... są wtedy ważne, bardzo ważne i cenne. Czuje się ich wartość, niekiedy nawet przecenia. I chciałoby się dużo powiedzieć, ale coś ważnego i istotnego, stosownego do powagi chwili, i nie wiadomo co; wtedy wszystko wydaje się błahe wobec ostatecznych wyroków, i się milczy i wszyscy się męczą nicniemówieniem. I kiedy się przypomni, o co chciało się zapytać albo co powiedzieć, jest już – zazwyczaj – za późno.

**Sierpień 2013**